Niezapomniane wrażenie

REZYDENCJA BELMONT

TAMERA ALEXANDER

Tytuł oryginału:
A Lasting Impression (Belmont Mansion)

Autor:
Tamera Alexander

Tłumaczenie z języka angielskiego:
Anna Pliś

Redakcja:
Agata Tokarska

Korekta:
Natalia Lechoszest
Dominika Wilk

Skład:
Alicja Malinka

ISBN 978-83-65843-31-9

© 2011 by Tamera Alexander by Bethany House Publishers, a division of Baker Publishing Group
© 2018 for the Polish edition by Dreams Wydawnictwo

Rzeszów, wydanie I

Dreams Wydawnictwo Lidia Miś-Nowak
ul. Unii Lubelskiej 6A, 35-310 Rzeszów
www.dreamswydawnictwo.pl

Druk: drukarnia Opolgraf

Jeśli nie zaznaczono inaczej, wszystkie cytaty z Pisma Świętego podano za Biblią Tysiąclecia.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych, przekazywana w jakiejkolwiek mechanicznej, elektronicznej lub innej formie zapisu bez pisemnej zgody wydawcy.

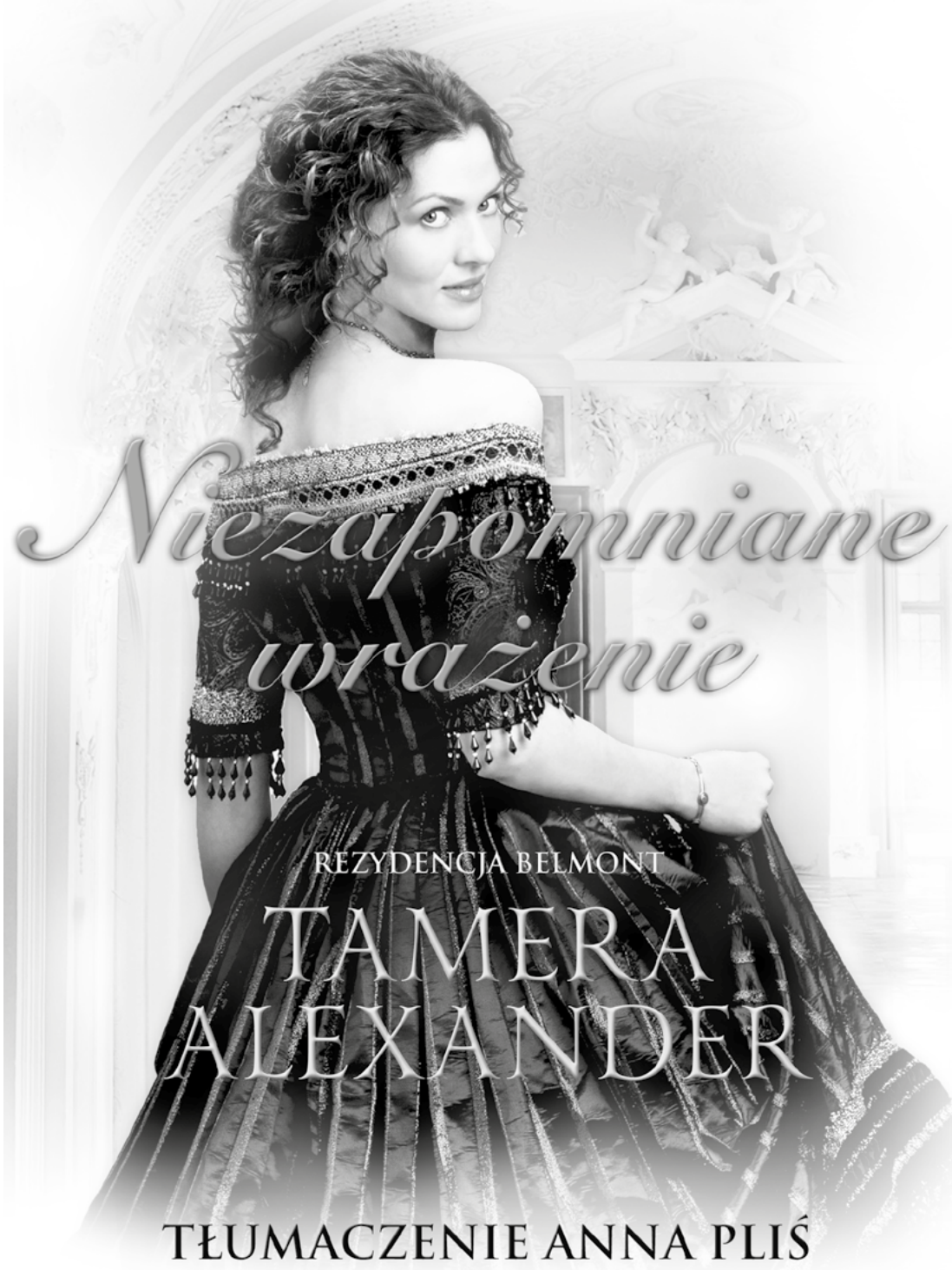

Dla Deborah Raney.

Moja Droga, za najlepsze pod słońcem paluchy z masłem orzechowym, przyjmij ode mnie to... z wyrazami wdzięczności.

Jesteśmy bowiem Jego dziełem, stworzeni w Chrystusie Jezusie dla dobrych czynów, które Bóg z góry przygotował, abyśmy je pełnili.

Ef 2,10

Wstęp

Książka, którą macie przed sobą, to w większości fikcja, jednakże znajdziecie w niej wplecionych też kilka faktów i postaci historycznych. Jednym z przykładów jest rezydencja Belmont w Nashville, wzniesiona w 1853, a istniejąca do dziś. Również pani Adelicia Acklen, bohaterka powieści, energiczna kobieta wyprzedzająca swoją epokę, rzeczywiście zamieszkiwała tamten dom.

Oprócz Adelicii Acklen także wiele innych postaci zostało zainspirowanych rzeczywistymi osobami żyjącymi w tamtych czasach – ludźmi, którzy pracowali w Belmont oraz je odwiedzali. Natomiast charaktery tych postaci i wydarzenia przedstawione w książce są w zupełności wytworem mojej wyobraźni i tak należy je rozumieć.

Kiedy po raz pierwszy przekroczyłam próg Belmont i dowiedziałam się o Adelicii, jej wyjątkowej osobowości oraz niezwykłym życiu, wiedziałam, że będę chciała stworzyć opowieść, w której znajdzie się ona, jej wspaniały dom oraz ten szczególny czas w historii naszego kraju. Po ponad dwóch latach poszukiwań i pisania powstała książka *Niezapomniane wrażenie*, która jest zwieńczeniem tego marzenia. Zapraszam Was, abyście do mnie dołączyli i byśmy mogli wspólnie po raz kolejny otworzyć wrota historii, po czym wkroczyć w inne miejsca i wieki. Dziękuję, że ofiarowaliście mi swój czas. To dla mnie bardzo ważny dar – doceniam to i staram się nigdy nie traktować go jako coś oczywistego.

Dziękuję, że chcecie ze mną ruszyć w kolejną podróż!

Tamera

1

Dzielnica Francuska, Nowy Orlean, Luizjana
7 września 1866

Claire Laurent wpatrywała się w ustawione przed nią na sztaludze ukończone płótno i chociaż pewnie nie zasługiwało ono na miano arcydzieła, wiedziała, że ten obraz był do tej pory jej najlepszym. Dlaczego więc odczuwała takie rozczarowanie? Piekielne fałszerstwo żłobiło w jej wnętrzu strużkę niczym pot spływający pod warstwami krynoliny i koronek. Przeczesała dłonią włosy i wrzuciła brudny pędzel do kubka z terpentyną, doskonale zdając sobie sprawę z tego, czemu tak było. A ta świadomość powodowała tylko jeszcze większe wyrzuty sumienia.

Jej wzrok spoczął na prawym dolnym rogu płótna, tam gdzie było miejsce na sygnaturę. Nie potrafiła się zebrać, by podpisać ten obraz. Nie tym nazwiskiem. Ze wszystkich pejzaży, martwych natur i portretów, które malowała, żadne nie wydawało jej się prawdziwie własne... Dopiero to.

Przesycony wilgocią, nabrzmiały i ciężki od niesionej zapowiedzi deszczu wiatr dolatywał od strony otwartego na piętrze okna. Wyjrzała z sypialni na zewnątrz, wdychając ostre, słone powietrze niesione od zatoki. Patrzyła na rozciągający się poniżej Vieux Carré[1], Stary Plac, który malowała tak wiele razy, że mogła

1 Vieux Carré – inna nazwa Dzielnicy Francuskiej w Nowym Orleanie, w dosłownym tłumaczeniu z francuskiego oznacza „stary plac" (o ile nie zaznaczono inaczej, wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

zamknąć oczy i nadal widziałaby każdy szczegół – rzędy domów o pastelowych elewacjach, balkony z czarnymi dekoracyjnymi balustradami wykonanymi z metalu oraz wiszące donice, z których spływało kwiecie późnego lata. To wyjątkowe połączenie tworzyło urok i piękno charakterystyczne dla tej właśnie części miasta.

Nic dziwnego, że od razu zakochała się w Nowym Orleanie, pomimo trudnych chwil, jakich tu doświadczała w ciągu ostatnich miesięcy.

Miarowe tykanie zegara na kominku wyznaczało upływające sekundy. Westchnęła z wyuczoną swobodą. Podniosła się ze stołka i przeciągnęła. Ostatnio późno kładła się spać i wcześnie wstawała, co nie pozostało bez wpływu na jej samopoczucie, ale nie było innego wyjścia. Ten obraz wymagał dużo więcej czasu, niż przewidywała. O wiele za dużo, o czym nieustannie przypominał jej ojciec.

Była już prawie druga trzydzieści, a musiała „opuścić galerię nie później niż o trzeciej" – jak wyraźnie zaznaczył jej tata. Miała świadomość, że nie powinna się przejmować takimi żądaniami. Nie po raz pierwszy wymagał, by wyszła, podczas gdy on „naradzał się" z klientami galerii. I wcale nie było tak, że nie wiedziała, co robił w tym czasie i na czym polegała ich rodzinna działalność.

Ostatnimi tygodniami był coraz bardziej poruszony, a to też bynajmniej nie ułatwiało ich kontaktów. Choć w żadnej mierze nie dało się go określić łagodnym, zazwyczaj nie wyróżniał się ciętym językiem. Od niedawna jednak jednym spojrzeniem mógłby nawet rozciąć świeżo upieczony bochenek.

– Claire Elise? *Où es-tu?*[2]

Znieruchomiała, słysząc jego głos.

– *Oui*[3], papo. Tu, na górze.

Zerknęła znowu na płótno, walcząc ze śmiesznym pragnieniem, by je ukryć. Coś w środku nie chciało pozwolić, żeby on

2 *Où es-tu?* (fr.) – Gdzie jesteś?
3 *oui* (fr.) – tak

widział ten obraz. Jeszcze nie teraz. A gdyby to mogło od niej zależeć, najlepiej nigdy. Może powie mu, że nie skończyła? Wystarczy jednak, że spojrzy na nią, a będzie wiedział. Nigdy nie umiała dobrze udawać... Nie tak jak on.

Szybkie kroki w górę schodów potwierdziły, że i tak nie miała czasu, by upchnąć obraz za szafą, a przykrycie go zasłoną nie wchodziło w rachubę, bo ostatnie pociągnięcia pędzla były zbyt świeże. Może gdyby przyznała się, co dla niej znaczyło to dzieło, pozwoliłby jej je zatrzymać.

Ale przeczuwała, że ta rozmowa będzie wyglądała podobnie jak ta wcześniejsza, pół roku temu, tuż po śmierci jej matki. Wtedy to powiedziała mu, na tyle dobitnie, na ile potrafiła, że nie chce już więcej malować „w ten sposób". I choć ojciec nigdy jej nie uderzył, to w tamtej chwili czuła, że miał ochotę. Dlatego też nie zamierzała ponownie poruszać tego tematu.

Aż do teraz.

– Aha... – Odgłos kroków ucichł w wejściu znajdującym się za jej plecami. – Wreszcie skończyłaś, czy tak?

Ton jego głosu nie był już tak ostry, jak rano, co dawało jej nadzieję, że może poprawił mu się humor.

– Tak... Skończyłam – odparła. Przygotowując się już na jego reakcję, czyli nieprzejednaną krytykę, zrobiła krok w bok. Czuła, że w środku jest kłębkiem nerwów.

Patrzył. Następnie zamrugał. Raz i drugi raz.

– *Jardins de Versailles...*[4] po raz kolejny. – Mięsień jego szczęki się napiął. – Nie na taki obraz się umawialiśmy. – Spojrzał na nią, a potem znowu na płótno. W jego rysach odmalował się surowy, głęboki podziw. – Ale... dostrzegam pewną poprawę.

Claire poczuła, jak jej zdenerwowanie topnieje wobec najdrobniejszego wyrazu pochwały. Nagle jednak zobaczyła to...

4 *Jardins de Versailles* (fr.) – ogrody wersalskie

Ten charakterystyczny błysk w jego oku. Ojciec doceniał sztukę na swój własny sposób, lecz w sercu był człowiekiem interesu. Duma z jej talentów artystycznych nie miała szans z korzyściami, jakie miał nadzieję uzyskać poprzez sprzedaż obrazów, które malowała. Jej obrazów...

Ironia tej myśli przygniotła serce Claire ciężarem, który wzbudził w niej niespodziewane i jednocześnie groźne poruszenie odwagi.

– Papo, ja... – Słowa uwięzły jej w gardle, a przecież on nawet nie zwrócił jeszcze na nią wzroku. – Chciałabym o czymś z tobą porozmawiać. O czymś bardzo ważnym dla mnie. Wiem, że nie jesteś...

Jego dłoń się uniosła i Claire przeszył dreszcz. Ale zdawało się, że on tego nie zauważył.

– To nie jest pejzaż, który – zgodnie z naszą umową – miałaś teraz namalować. Nie jest to też coś, co opisywałem klientowi, ale... – Urwał. Przyglądał się badawczo jej przedstawieniu pałacu Ludwika XIV i otaczających go ogrodów, po czym westchnął teatralnie. – Biorąc pod uwagę, że właściwie nie mamy czasu oraz to, że klient wyjątkowo mocno pragnie wejść w posiadanie jakiegoś François-Narcisse'a Brissauda... będzie musiało wystarczyć. – Skinął lakonicznie, jakby w tym właśnie momencie podjął wewnętrzną decyzję. – Tak. Z pewnością zdołam go przekonać o wartości tego obrazu. W końcu... – Uśmiechnął się sam do siebie. – ...te wielkie paryskie galerie często dostarczają nie te płótna, co trzeba. Ale następnym razem, Claire... – Spojrzał na nią z góry surowym wzrokiem. – Masz wykonać skrupulatnie co do najdrobniejszych szczegółów to, na co się umawiamy.

Przyglądała się uważnie jego twarzy. Bardzo bolały ją te słowa, pod wieloma względami. Jednak najgorsze było...

– Znalazłeś kupca na ten obraz? Zanim go zobaczył na własne oczy?

Kąciki ust mężczyzny uniosły się w pełnym satysfakcji uśmiechu i znowu skupił się na jej dziele.

– Mówiłem ci, że tak będzie. Wieści się roznoszą. Po dwóch latach niestrudzonych wysiłków nasza skromna mała galeria w końcu zyskuje w tym mieście renomę, na jaką zasługuje. Tak jak i zaufanie klientów, które również z czasem zdobędziemy. Wszystko dzięki moim umiejętnościom negocjacji. – Przechylił głowę lekko na bok. – Choć muszę przyznać, że twoja gra światłem, te odcienie w ogrodzie, to, jak połączyłaś to wszystko tym razem... Widzę, że wzięłaś sobie do serca moje rady.

Claire nic nie powiedziała, od dawna nauczona, że tak było najlepiej, jeśli chodzi o przyjmowanie jego uwag.

Zwrócił w jej stronę udobruchane oblicze.

– Gdybym stanął bliżej... – Co właśnie uczynił, mówiąc: – Jestem prawie pewien, że poczułbym zapach bzu rozgrzanego południowym słońcem.

Znieruchomiał nagle, a ona podążyła za jego wzrokiem w kierunku lewego dolnego rogu obrazu. Ten dodatkowy szczegół był tak nieznaczny, tak niepozorny, iż ktoś mógłby go przeoczyć, gdyby nie przyjrzał się dokładnie. Stąd też nie była zaskoczona, że dopiero teraz go zauważył.

– Abella... – powiedział ledwie słyszalnym głosem. Imię jej matki w jego ustach brzmiało jak najświętsza modlitwa, jaką Claire kiedykolwiek słyszała. Chociaż wcale nie słyszała ich tak wiele, a już żadnej od niego. – N-namalowałaś ją – wyszeptał.

Dziewczyna poczuła, że od emocji zaczęło ją piec pod powiekami, i było to wywołane tak załamaniem jego głosu, jak i tęsknotą za kobietą przedstawioną na obrazie. Namalowała swoją *maman*[5] stojącą boso na brukowanej ścieżce, na wpół ukrytą za krzewem bzu, z koszykiem kwiatów przewieszonym przez rękę. Miała leciutko

5 *maman* (fr.) – mama

uniesiony podbródek, jakby kogoś wypatrywała, a kaskady jej kasztanowych loków, które odziedziczyła Claire, falowały lekko w wyimaginowanym powiewie wiatru.

Claire wpatrywała się w wizerunek matki tak długo, aż delikatne pociągnięcia pędzla rozmazały się przed jej oczami w bezładną kałużę kolorów. Minęła już cała dekada od tamtego popołudnia w Wersalu, ich ostatniej wycieczki do pałacu przed opuszczeniem Paryża i Francji na zawsze. Miała wtedy dziewięć lat, ale wspomnienia dni spędzonych w tamtym miejscu z rodzicami, gdy spacerowała po ogrodach i karmiła się dziecięcymi marzeniami o życiu w takim pałacu, głęboko zapadły jej w serce i wciąż były wyjątkowo żywe. Powietrze przepełnione kwiatowymi zapachami, symfonia natury wyrażona w szumie drzew, feeria barw... Każdy szczegół zapisał się dokładnie w jej pamięci i był skrzętnie skrywany.

Te właśnie wspomnienia stanowiły najszczęśliwsze obrazy jej życia. A ostatnie sześć miesięcy... najbardziej samotne.

Myślała, że była dostatecznie przygotowana na śmierć matki. Przez ponad rok obserwowała, jak choroba zżera ją od środka. Choć czuła ulgę, wiedząc, że mama już więcej nie cierpi, zdarzały się takie dni, gdy nieprzenikniona i mroczna pustka rozwierała się w niej tak szeroko i bezdennie, iż Claire obawiała się, że pochłonie ją całą.

– Była taka piękna – rzekł głosem wątłym i pełnym znużenia, które przerastało przeciętne znużenie czterdziestodwulatka. Wyciągnął rękę, jakby chciał dotknąć płótna, ale nagle się zatrzymał. Jego dłoń drżała.

Claire przyjrzała mu się uważniej. Te cienie pod oczami... Od jak dawna tam były? A zmarszczki na czole? Czyżby wyżłobione żalem? I pewnie zmartwieniem... Ale o co? O po raz kolejny spóźniony czynsz? O sprzedaż drogich dzieł sztuki, które kupił na kredyt, wbrew jej zdroworozsądkowym sugestiom?

Spojrzała z powrotem na swoje dzieło.

– Nie planowałam jej umieszczać na obrazie, papo. Ona... po prostu... tak się tam pojawiła... sama wyszła spod mojego pędzla.

Przez dłuższą chwilę ojciec milczał. Następnie westchnął długo i przeciągle.

– Obraz musi się najpierw zrodzić w sercu artysty, zanim może być urzeczywistniony na płótnie.

Claire poczuła, że serce zabiło jej szybciej. To pierwsza lekcja malarstwa udzielona jej przez matkę... ale to było tak dawno temu. Nawet trudno było uwierzyć, że on to nadal pamięta. Ona, wręcz przeciwnie, pamiętała wszystko, czego nauczyła ją mama. Gdyby tylko jeszcze odziedziczyła zdolności Abelli Laurent. Matka twierdziła, że tak się stało, a nawet że była bardziej utalentowana. Mimo to papa jasno dawał jej do zrozumienia, że nie.

Oczywiście nigdy nie powiedział jej wprost, że cokolwiek robiła, to wciąż nie było wystarczająco dobre. Jednak wiedziała, że tak właśnie myślał. Wywnioskowała to z tego, czego nie mówił.

Ręka ojca przesunęła się w bok i przez ulotną jak marzenie chwilę Claire wyobraziła sobie, że pogłaszcze ją po policzku. Zawsze tego pragnęła, bo mama mówiła jej, że kiedyś to robił, ale ona nie sięgała pamięcią tak daleko. Czekała, a oddech uwiązł jej w gardle. Czuła się raczej jak dziecko niż jak dorosła kobieta.

Odwrócił się.

– Też za nią tęsknię – wyszeptał. – Niech ci się nigdy nie wydaje, że jest inaczej.

Zrobiło jej się głupio i poczuła, że niepotrzebnie się łudziła, więc schyliła głowę, by ukryć cierpienie.

– Nie wydaje mi się tak, papo.

Bywało, że parę lat temu kwestionowała miłość między rodzicami. Przede wszystkim ze strony ojca. Zwłaszcza w tych ostatnich dniach, gdy było już jasne, że medycyna nie może nic pomóc, i lekarze porzucili wszelkie nadzieje, a Claire błagała go, żeby posłał matkę do sanatorium.

– Ludzie tak chorzy jak *maman* wyjeżdżają tam i czasem ich stan się poprawia – mówiła mu.

Ale w odpowiedzi wybuchał gniewem.

– Takie wyjazdy kosztują, Claire Elise! A my nie mamy tylu pieniędzy. Chyba że będziesz malować zamiast niej. Szybciej i lepiej, niż malujesz teraz.

Więc pracowała, dniami i nocami, przez wiele miesięcy, aż do końca. Doglądając matki, która nie przestawała jej uczyć, tak jak to robiła, od kiedy Claire była małą dziewczynką. Czasami nie podnosząc się z łóżka, gdy była zbyt słaba, by siedzieć lub stać. Ale po jakimś czasie okazało się, że nieważne, jak bardzo błagała ojca albo jak wiele malowała, papa uparcie obstawał przy swoim i matka ostatecznie zmarła we własnym pokoju.

Ojciec odchrząknął.

– Masz szczęście, że na siedemnaście razy, kiedy Brissaud malował *Jardins de Versailles*, w każdym obrazie umieścił jakiś inny szczegół.

Claire kiwnęła głową, bo wiedziała to tak samo dobrze jak on. Podobnie jak to, że wszystkie siedemnaście oryginałów *Jardins de Versailles* jak i te cztery, jakie namalowała przed tym, na który patrzyli, były w obiegu. Jeśli ktokolwiek dotarłby do tych czterech, a wkrótce pięciu dumnych posiadaczy „oryginałów" François-Narcisse'a Brissauda nabytych w Galerii Dzieł Sztuki Europejskiej w Nowym Orleanie i uświadomił im istnienie pozostałych siedemnastu...

Ojciec wskazał ręką na stojący na kominku zegar, a następnie spojrzał na nią znacząco i wyszedł, kierując się na schody prowadzące w dół.

Claire wzięła swoją torebkę i odwróciła się do wyjścia, ale jeszcze raz zerknęła na płótno. Nie zastanawiając się nad konsekwencjami, złapała za pędzel, zanurzyła go w farbie i drżącą dłonią podpisała obraz własnym nazwiskiem. Choć wiedziała, że i tak

będzie musiała to później zmienić.

Jednak teraz widok własnego nazwiska na czymś, z czego była tak dumna, oraz świadomość, że papie się to nie spodoba, przyprawiały ją o miłe uczucie.

Kiedy szła przez kuchnię, zauważyła, że drzwi prowadzące do galerii obrazów są otwarte. Papa nigdy na to nie pozwalał. Zawsze gdy przestępowała ten próg, czuła się, jakby wkraczała do innego świata. Miękkie, puszyste dywany, żyrandole z brązu, obrazy olejne i rzeźby, bordowe, jedwabne tapety na ścianach, które idealnie komponowały się z aksamitnymi obrusami zdobiącymi stoły. Wszystko to nabyte na kredyt, gdy wprowadzali się do tego budynku dwa lata temu. Zakupione z zamiarem stworzenia wrażenia bogactwa i dostatku, jakkolwiek była to cienka i licha okleina.

Ponownie uderzyła ją różnica między galerią a częścią mieszkalną. Zatrzymała się koło tylnego wejścia z ręką na zasuwce i zebrała w sobie całą odwagę.

– Papo... jeśli chodzi o ten obraz, który dzisiaj ukończyłam. Bardzo chciałabym porozmawiać z tobą o możliwości zatrzy...

– Nie! Nie ma mowy!

Niespodziewana fala gorąca zalała jej wnętrze.

– Ale on jest wyjątkowy. Przynajmniej dla mnie. Namaluję drugi, szybciej, dokładnie według twoich wytycznych. Cokolwiek zechcesz...

– Odpowiedź brzmi: „nie"! – Jego twarz przybrała gniewny wyraz. – Ten obraz jest już sprzedany.

– Przecież tam jest *maman*...

– Potrzebujemy tych pieniędzy, Claire Elise! Wierzyciele czekają na spłatę, a ty guzdrałaś się już tak długo, że zbyt wiele mnie to kosztowało. Po raz kolejny!

Świadoma tego, że ponownie wchodzi na grząski teren, zrobiła krok dalej.

– Mam jeszcze inny obraz, papo. Mój własny, którego ci jeszcze nie pokazywałam. Może klient mógłby...

– On chce Brissauda! Czy nie powiedziałem ci tego wystarczająco jasno? – Na szyi wystąpiły mu czerwone plamy. – Nasi klienci nie są zainteresowani jakimś kiepskim, bezmyślnym naśladownictwem... – Westchnął ciężko i pokręcił głową, jakby nagle dotarła do niego siła jego własnych słów. – Przepraszam, Claire, ale stało się. Nie ma już o czym rozmawiać. Może z czasem uda nam się sprzedać i twoje obrazy, jednak teraz twój talent po prostu nie wyróżnia się... niczym. Potrzeba czasu, by go rozwinąć. Będzie najlepiej dla ciebie, jeżeli pozostaniesz na razie przy kopiowaniu. Całkiem dobrze ci to wychodzi.

Głęboko w sercu poczuła niedające się wysłowić ukłucie. Skrzywiła wargi z goryczą.. Chciała coś odpowiedzieć, ale jeszcze bardziej pragnęła powstrzymać płacz, a jeśli tylko otworzyłaby teraz usta...

– Musisz zrozumieć... – Zacisnął mocno powieki. – Właśnie na to pracowaliśmy przez te wszystkie lata. Żeby mieć swoją galerię i renomę.

– Tak, papo, renomę, ale naszego nazwiska. Naszej pracy. Nie czyjejś innej, którą my...

– Pomyśl o swojej matce, o tym, jak ciężko pracowała. Dla nas jako rodziny. Dla ciebie.

Jego twarz przybrała wyraz takiej czułości, o jakiej Claire już prawie całkiem zapomniała, a której wcale też nie ufała do końca.

– Twoja *maman* poświęciła tak wiele, by dać ci to wszystko, Claire. I lepsze życie w Ameryce – mówił. – Jak myślisz, dlaczego tu przyjechaliśmy? Dlaczego tak ciężko oboje pracowaliśmy przez te wszystkie lata? To dla ciebie...

Już to wszystko kiedyś słyszała. Była wdzięczna za to, co dała jej matka... i ojciec, ale wiedziała, że ich starania przynosiły korzyści nie tylko jej. Także jemu. To mama jej o tym powiedziała.

W tych ostatnich dniach mówiła wiele ważnych rzeczy. Claire nie miała nawet do końca pewności, czy to było majaczenie po laudanum[6], czy wypowiedzenie wreszcie prawdy na głos.

Choć chciała wierzyć, że w głębi serca ojciec pragnął dla niej jak najlepiej. Przecież był jej papą.

Wpatrując się w niego, widziała jego mocno zarysowane ramiona i żelazną determinację i czuła, że jej wewnętrzne przekonania słabną. Otworzyła drzwi, ale zaraz przypomniała sobie o czymś i wyciągnęła dłoń. To sprawiało, że czuła się jak żebrak i jeszcze bardziej darzyła ojca niechęcią.

On wcisnął jej w rękę trzy monety, o jedną więcej niż zwykle.

Odwróciła się bez słowa podziękowania czy pożegnania.

– Baw się dobrze w kawiarni, tylko nie siedź za długo. Po południu czeka nas praca – mówił sztucznie lekkim tonem. Zawsze tak robił, gdy ulegała. – I nie zapomnij przynieść czegoś słodkiego dla mnie i wuja Antoine'a.

Claire zatrzymała się w pół kroku.

– Wuj Antoine wrócił?

Skinął głową, jakby to miała być błaha informacja, ale wiedział, że było wręcz przeciwnie.

– Wkrótce tu przyjedzie, aby mi pomóc. Poprosiłem go, żeby został i spotkał się z tobą, jeżeli znajdzie czas. Więc teraz się pospiesz. – Machnął dłonią. – Zostaw nam interesy. To nasza działka – dodał.

Claire przeszła przez wybrukowaną cegłami drogę, starając się, jak zawsze, zagłuszyć wewnętrzny ból. Uskakiwała przed furmankami i powozami, które przetoczyły się obok z łoskotem, mając nadzieję, że dotrze do celu, zanim nabrzmiałe niebo wypełni swoją stalowoszarą groźbę.

6 Laudanum – dawna nazwa nalewki z opium, stosowanej w leczeniu wielu chorób (przyp. red.).

Mieszkali w Nowym Orleanie od dwóch lat – najdłużej w jednym miejscu, od kiedy przybyli do Ameryki, i wreszcie zaczynała się tu czuć jak w domu, co pewnie oznaczało rychłą przeprowadzkę. Ale sama myśl o wyjeździe wzbudzała w niej lęk.

Wuj obiecywał, że nie dopuści do tego ponownie, że odwiedzie ojca od takiej decyzji. Jednak zbyt dobrze znała upór papy.

Wuj Antoine...

Z powoli ustępującym niepokojem czekała, aż powóz przejedzie przez ulicę i będzie mogła przejść. Wuj potrafił łagodzić napięcia pomiędzy nią a papą.

Antoine DePaul miał mniej więcej tyle lat co ojciec, ale nie był z nią ani trochę bliżej spokrewniony niż Ludwik XIV. Mimo to darzyła go tak wielką sympatią, jakby byli rodziną. Często podróżował i ostatnio interesy wezwały go na Północ na ponad miesiąc. Zbyt długo. Nie mogła się już doczekać, żeby zobaczyć, jakie najmodniejsze buty kupił tym razem. Jego znakiem rozpoznawczym było obuwie ze skóry aligatora, ale podczas ostatniego wyjazdu do Nowego Jorku zaopatrzył się również w takie ze strusia i z anakondy. Cały wuj Antoine...

Skręcając za kolejnym rogiem, wzięła głęboki wdech i otrząsnęła się z resztek rozczarowania. Poprawiający nastrój aromat drożdżowych *beignets*[7] i kawy z domieszką cykorii poruszał w jej sercu miłe nuty jakże żywych wspomnień z dzieciństwa. A to wszystko dzięki kawiarni Café du Monde, która znajdowała się zaledwie przecznicę dalej.

Zrobiło jej się lżej na duchu, jak zawsze, kiedy wychodziła na zewnątrz i spacerowała, kiedy była poza galerią.

Przypomniała sobie ten pierwszy raz, gdy zobaczyła Antoine'a DePaula – w Nowym Jorku, tuż po ich przyjeździe do Ameryki dziesięć lat temu. Wydawał jej się taki wysoki i szykowny. Potrafił

7 *Beignets* (ang.) – przysmak typowy dla Nowego Orleanu, będący odmianą pączków.

ją rozśmieszyć bez większego wysiłku. To takie szczęśliwe zrządzenie losu, że spotkali go od razu po zejściu ze statku na ląd. I on wtedy także dopiero co przypłynął z Francji.

– Jaki ten świat mały, nawet w tej olbrzymiej, nowej rzeczywistości – skwitował papa.

Wuj był również doświadczonym handlarzem dziełami sztuki, ale miał też w sobie urok, który zdawał się przyciągać klientów na pęczki, szczególnie w postaci żeńskich adoratorek. W niedługim czasie został partnerem biznesowym jej ojca. A w końcu stał się im tak bliski jak członek rodziny.

Rozległ się grzmot i szare niebo wypełniło ciążącą wcześniej zapowiedź. Claire ruszyła biegiem w stronę pasiastej markizy kawiarni. Czuła się trochę jak zmokły szczur i pewnie też tak wyglądała. Otrzepała pokrytą kroplami deszczu spódnicę i poukładała mokre loki najlepiej, jak potrafiła.

– *Bonjour, madame!*[8] – Uśmiechnęła się do kobiety za kontuarem i złożyła zamówienie, z zadowoleniem zauważając, że kawiarnia nie była zbytnio zatłoczona.

Balansując z dwoma kreolskimi pączkami na talerzyku oraz dodatkowymi dwoma spakowanymi do torebki na wynos, chwyciła jeszcze kawę i poszukała wolnego stolika. Poprzedni klient zostawił po sobie dzisiejszą gazetę, więc przejrzała wiadomości, delektując się jedzeniem, popijając aromatyczny napój i oblizując palce z cukru pudru, gdy nikt nie patrzył. Po jakimś czasie poskładała gazetę, odłożyła ją na bok i rozkoszowała się resztą kawy. Otrzepała cukier puder ze spódnicy, ale biały pył nie chciał całkowicie zniknąć z czarnego materiału jej jedynej sukni żałobnej.

Czy naprawdę minęło już sześć miesięcy od śmierci matki? Czasem wydawało się, że dużo więcej, a jednocześnie, jakby to było wczoraj.

8 *Bonjour, madame!* (fr.) – Dzień dobry pani!

Deszcz ustał, więc nieśpiesznie ruszyła w stronę domu, z zaskoczeniem spostrzegając, jak szybko zapadał zmrok i jak ciepłe oraz ciężkie było wciąż powietrze. Zaczęła się zastanawiać, które dzieło sztuki, o ile w ogóle jakieś, ojciec mógł sprzedać podczas jej nieobecności.

Pomyślała o swoich *Jardins de Versailles*, jednak wiedziała, że ta ostatnia kopia przynajmniej na jakiś czas była jeszcze bezpieczna. Wynikało to z faktu, że obraz François-Narcisse'a Brissauda, znanego „paryskiego mistrza", którego dzieł szczególnie pożądano, nie mógł być sprzedany z galerii sztuki w Nowym Orleanie, póki nie wyschła farba.

Większość klientów ich galerii przychodziła w poszukiwaniu kopii znanych obrazów. Kiedy tylko papa otrzymywał zadatek, chętnie realizowała takie zamówienia, podpisując się własnymi inicjałami, na co on pozwalał. Amerykanie kochali wszystko, co europejskie, i posiadanie dobrej kopii dzieła jakiegoś europejskiego artysty było bardzo modne. Taka praca jej nie przeszkadzała. W zasadzie nawet bardzo jej się podobała. Ponieważ ci ludzie dobrze wiedzieli, że kupują kopię. Imitację. Podróbkę.

Gdy jednak ktoś przychodził, by nabyć dzieło uznanego artysty, François-Narcisse'a Brissauda, którego styl jej matka nieustannie studiowała i nauczyła się naśladować, podobnie jak Claire, to ci ludzie byli przekonani, że kupują coś, co ma prawdziwą wartość.

Tak naprawdę jednak podpis artysty na płótnie był podrobiony, tak samo jak dokumenty, które jej ojciec i wuj Antoine preparowali, by poświadczyć autentyczność obrazu. To, co robili, nie było właściwe i ona dobrze o tym wiedziała. To była kradzież.

Nigdy nie rozumiała, dlaczego jej matka zgodziła się w ogóle na coś takiego. *Maman* nie poruszała tego tematu, a ona nie naciskała, nawet pod koniec jej życia. Wydawało jej się to tak trywialne, kiedy z jej matki boleśnie i nieuchronnie ulatywało życie.

Wciąż pamiętała ten moment, gdy dawno temu po raz pierwszy

widziała pejzaż, który jej matka namalowała pod obcym nazwiskiem. Claire miała wtedy jedenaście lat i pomyślała sobie, że ktoś się pomylił. Albo że ktoś, nie wiadomo kto, podrobił dzieło jej matki.

Niedługo potem została wysłana do kolejnych szkół z internatem. Ale zanim ukończyła siedemnasty rok życia, znała już prawdę. Kiedy zaś *maman* była zbyt chora, by utrzymać samodzielnie pędzel, Claire stworzyła swój pierwszy falsyfikat z nazwiskiem François-Narcisse Brissaud u dołu, podczas gdy ojciec stał tuż za jej plecami.

Obowiązek, który od tak wielu lat ciążył na Abelli, został przekazany córce. I ta „odpowiedzialność", jak to nazywał ojciec, stała się ciężkim brzemieniem na jej ramionach.

Z każdym krokiem, który przybliżał ją do domu, czuła rosnące napięcie.

Gdy znajdowała się daleko od galerii, z dala od swojego ojca, miała wrażenie, jakby była kimś zupełnie innym, żyjącym jakimś innym życiem. Tymczasem po prostu marzyła, aby tak mogło być. Musiała jednak znaleźć jakiś sposób, by ją wysłuchał, żeby zrozumiał.

Ku własnemu zaskoczeniu wcale nie potrzebowała wiele czasu, by wymyślić, co chce powiedzieć: „Papo, postanowiłam, że zatrzymam dla siebie ten obraz ogrodów wersalskich. Zapłacę ci za niego, jeśli będziesz chciał". Choć nie wiedziała, jak miałaby to zrobić. To on zajmował się finansami, a przychody z działalności galerii nie były znaczne w ciągu ostatnich miesięcy, o czym wciąż jej przypominał, pomimo tego, że obrazy się sprzedawały. „Ale chcę go zatrzymać. I co więcej, nie zamierzam dłużej brać w tym wszystkim udziału. Namaluję, cokolwiek zechcesz, pod warunkiem, że na płótnie będzie moje nazwisko". Właśnie tak. Westchnęła. Słowa przychodziły z taką łatwością, dopóki nie stała przed nim, dopóki nie mierzył jej wzrokiem.

Weszła przez kuchnię. Cisza panująca w domu sprawiła, że poczuła ukłucie rozczarowania. Czyżby wuj Antoine już wyszedł? Czy całkiem się z nim rozminęła?

Postawiła torebkę na stole kuchennym razem z opakowaniem zawierającym *beignets*. Powinna zacząć przygotowywać kolację, choć wcale nie była głodna. Wiedziała jednak, że papa będzie. Otworzyła drzwi do galerii i zerknęła do środka. Pojedynczy kandelabr migotał słabym światłem świec na komodzie ustawionej pod ścianą. Resztę ogromnego pomieszczenia spowijały cienie i półmrok.

– Papo?

Zauważyła, że ze sztalugi zniknęła kopia obrazu Alexandre-François Caminade'a *Księżna Orleanu*, którą namalowała dwa miesiące temu i podpisała własnymi inicjałami. Również pusty był stojący obok postument, na którym znajdowała się wcześniej rzeźba zatytułowana: *Nydia, niewidoma kwiaciarka z Pompei*, niewielkich rozmiarów oryginał autorstwa Randolpha Rogersa, znanego, a jednocześnie jej ulubionego rzeźbiarza.

Trafiło im się wyjątkowo owocne popołudnie.

Zganiła papę, kiedy zakupił rzeźbę Rogersa. Była zbyt droga na ich możliwości w sytuacji, gdy nie mieli na nią pewnego kupca, a jednak i tak to zrobił, mówiąc, że rozsądnym jest, by przez ich ręce przechodził raz na jakiś czas autentyk. Najwyraźniej to akurat była dobra decyzja, bo udało mu się sprzedać *Nydię* w ciągu tygodnia.

Pokręciła głową i odwróciła się, by go odszukać. Ależ musi być zadowolony z siebie i pewnie będzie jej wypominał, że...

Coś zachrzęściło jej pod butami. Spojrzała pod nogi. Wszędzie leżały odłamki szkła.

Dopiero wtedy usłyszała niski jęk dochodzący zza drzwi.

Powoli pchnęła skrzydło. Panującą w domu ciszę przerwało nad wyraz głośne skrzypnięcie. Po chwili jej wzrok przyzwyczaił się do słabego oświetlenia i wówczas go dostrzegła – po drugiej stronie pokoju, leżącego twarzą do podłogi.

– Papo! – Podbiegła do ojca, a potłuczone szkło rozpryskiwało się pod każdym jej krokiem. – Papo, jesteś cały? – Pochyliła się niżej i potrząsnęła go za ramię. Bez skutku. – To ja, papo. Claire... Słyszysz mnie?

Oddychał ciężko, jakby bardzo cierpiał.

Z wielkim wysiłkiem odwróciła mężczyznę na plecy, tak delikatnie, jak potrafiła. Jęknął, a ona wzdrygnęła się z obawy, że przyprawiła go o dodatkowy ból. Odgarnęła włosy z twarzy i poczuła na dłoniach coś mokrego i lepkiego.

Spuściła wzrok. Wszystko zakołysało się przed jej oczami.

Na przodzie koszuli ojca widać było ciemną plamę, tak samo jak na jej dłoniach. Zakręciło się jej w głowie. Lękając się tego, co jeszcze może odkryć, wyciągnęła dół koszuli z jego spodni, odsłaniając tym samym rozcięcie na brzuchu. Sądząc po ilości krwi, rana była głęboka. *Och, papo...*

– Otwórz oczy – wyszeptała ze ściśniętym sercem. – Proszę, otwórz oczy.

Nie otworzył.

Podbiegła do biurka i z dolnej szuflady wzięła stertę świeżych ściereczek do polerowania, a następnie chwyciła świecznik. Musiała zatamować krwawienie, tyle wiedziała. Migoczący krąg światła podążył za jej ruchem, omiatając ściany pokryte bordową tapetą. Tam, gdzie padała jasność, pokój przybierał różową poświatę.

Nagle znieruchomiała.

Zmrużyła powieki i podniosła wyżej świecznik, starając się upewnić, czy to, co widzi, a w zasadzie czego nie widzi, jest prawdą. Tak było.

Wszystkie dzieła sztuki zniknęły.